

Poszukiwanie naszych bliskich kuzynów w Afryce

Wyprawa na Borneo i spotkania z leśnym człowiekiem²⁰ zainspirowała mnie do złożenia wizyty u jeszcze bliższych krewnych. U dwóch jegomościów, z których jeden to pan troglodyta²¹, a drugi gorillo gorillo²².



Chimpo. Chwila refleksji



Goryl górski gdzieś na pograniczu Rwandy i Konga

²⁰ Leśny człowiek to po malezyjsku Orang Utan.

²¹ Łacińska nazwa szympansa.

²² Łacińska nazwa goryla.



Orangutan, Bukit Lawang, Sumatra, Indonezja

Obydwaj zamieszkują trudno dostępne lasy deszczowe w Rwandzie i Ugandzie. Wybrałem się tam późną zimą 2009 roku. Przemieszczając się pierwszego dnia wynajętym samochodem przez całą Ugandę słuchałem miejscowej muzyki. Poczułem klimat pierwszych scen z filmu „Ostatni król Szkocji”. Jadąc, przez cały czas patrzyłem przez okno na plantacje herbaty, gaje bananowe, pola uprawne. Nie dziw, że ktoś kiedyś nazwał Ugandę „Perłą Afryki”. Po drodze zatrzymywałem się, by pochłonąć soczyste i słodkie ananasy, pulchne banany.

Cały zakurzony dotarłem późnym wieczorem do kampu położonego w górach gdzieś na pograniczu Ugandy i Konga. Nazajutrz o poranku rozdziawiłem głębę na widok baraszkujących goryli. Piękne, mądre, pokryte czarnym futerkiem. Ruchy jak człowiek. Każdy ma inną twarz. Młodzień o mądrych oczkach i pomarszczonych czółkach, ojciec osiemnastoosobowej rodziny z siwymi plecami, mamy z niemowlakami na brzuchu. Jedzą, bawią się, szaleją. Nie wiadomo co robić. Wypstrykałem cały aparat. Wymieniać kartę pamięci? Rzuciłem



Wędrując ścieżkami na pograniczu Ugandy i Konga spotkałem starą kobietę pędzącą bimbier. Spocząłem o poranku wśród miejscowych żuli - amatorów gorącego jeszcze destylatu

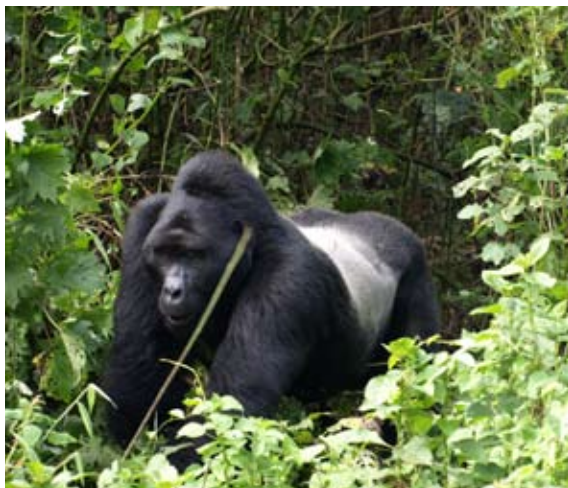
wszystko i patrzyłem wzruszony. Tak rozpoczęła się moja piękna podróż po tajemniczej czarnej Afryce.



Psota



Soczyste listki. to jest to



Dostojny szef stadka



Goryla młodzię

W bagnie po pas

Następnego dnia o poranku zakupiłem 30 jaj, sześć puszek z fasolą i pomidorami, dwie zgrzewki chleba, karton wody pitnej, masło orzechowe, pięć kilo cebuli, i pomidorów, dżem, pięć wielkich ananasów oraz wielką dziesięciokilową kiść bananów i najważniejsze: gumiaki! Wynająłem sześciu tragarzy, przewodnika, kucharza i ruszyłem przez cały okrągły tydzień zdobywać Góry Księżycowe. Dymałem w pocie czoła od świtu do popołudnia skacząc z krzaka na krzak i próbując w ten sposób uniknąć ugrzęźnięcia w bagnisku. Wszak Ruwenzori to miejsce, gdzie pada deszcz przez cały rok. Cały szlak to jedno wielkie bagno. Po raz pierwszy w życiu przez całutki tydzień wędrowałem po bardzo wysokich górach ... w gumiakach.

Ruwenzori to jeden z moich najpiękniejszych trekkingów. Ogromne wrażenie zrobiło jeziorko położone na wysokości 4000 m.n.p.m. - Otoczone bagniskami i przedziwną bujną roślinnością. Po raz kolejny znalazłem się pośród śniegów na samym równiku. Najpiękniejszy był samotny nocleg w chatynce nad wysokogórskim jeziorkiem. Raj na ziemi. Żywej duszy nie ma.

Przez to, że jest tam potwornie wilgotno, szczytów gór nigdy nie widać. Z wyjątkiem nocy, gdy mocno świeci księżyc. Wtedy na chwilę odsłaniają się wysokie na pięć tysięcy metrów masywy Stanleya i Speaka. Jest bardzo mokro, wilgotno. Roślinność dzięki temu bujna i tajemnicza. Przez tydzień miałem wrażenie, że jestem na planie filmu Jurassic Park, że zaraz zza spowitego mchami i nigdzie indziej nie spotykaną bujną roślinnością drzewa, wyskoczy dinozaur.



Tydzień we mgle, tydzień w deszczu, tydzień w bagnie. Ruwenzori. Uganda



Wśród bujnej przedziwnej roślinności zdobywam Góry Księżycowe



W gumiakach przesz tydzień. Tutaj tuż przed Scott Elliot Pass na wysokości ponad 4.000 m.n.p.m.



Na wąskiej ścieżce
wśród spowitych
chmurami i mgłą Gór
Księżycowych



Z krzaka na krzak. Tak się chodzi po bagnach na Ruwenzori



Zieleń totalna, bujna, wilgotna. Po to człowiek dyma po pas w błocie, by delektować się tą wszędobylską bujną zielonością. By napawać się zapachem zieleni. By przeżywać upiorną zieleń. Mokre buty, mokre ciuchy, przenikliwe zimno są minimalną tylko ceną za uroki i wrażenia, jakich doznaje człowiek.

Taka wielodniowa wędrówka po górach jest jak pielgrzymka. Nie tylko fizycznie wdrapując się na wysoką przełęcz, ale także duchowo, zbliżamy się do Boga, jakkolwiek by się nazywał. Ta pielgrzymka jest medytacją. Wielogodzinny marsz jest okazją do wyciszenia, ale także do intensywnych przemyśleń. O tym jak było, co jest i jak będzie. To taki reset, jedno naciśnięcie guzika trwające tydzień, po którym oczyszczony wracam na dół.

Tajemnicza sceneria na Ruwenzori

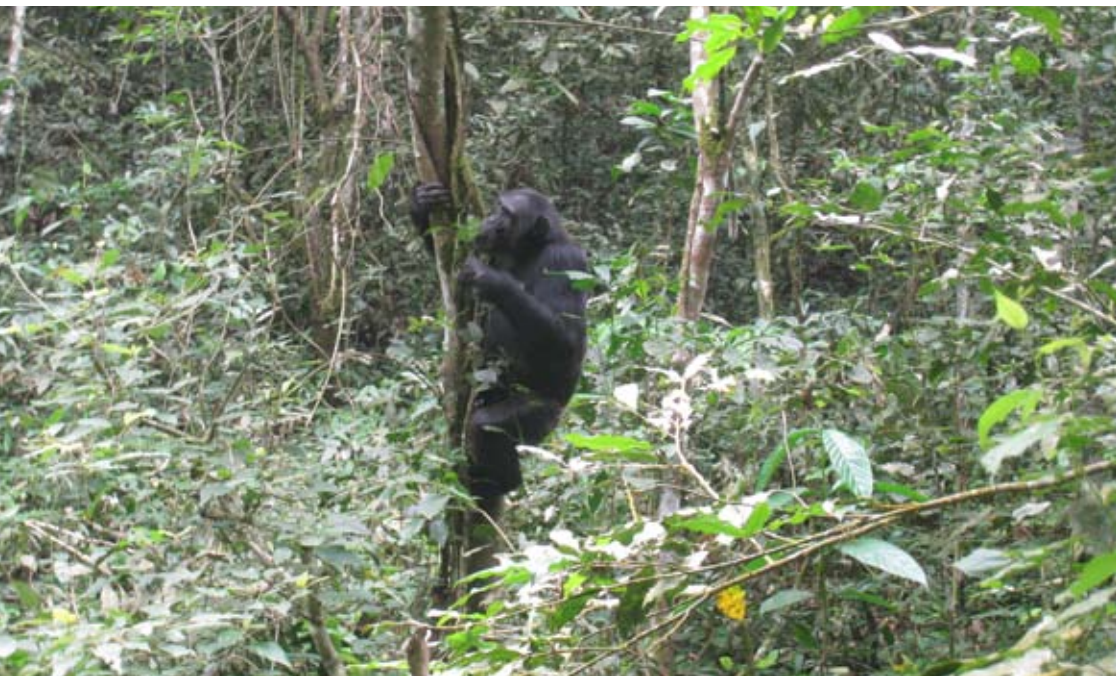


Przez tydzień constans – mgły, chmury, deszcz

Pościg za Mobutu

Wracając wyczerpany fizycznie z Ruwenzori, zaplanowałem ciąg dalszy mojej wyprawy. Następny etap to Pan Troglodyta!

Trafiłem do Kibale, gdzie mieszka sobie na wolności około tysiąc czterysta szympanсів, naszych bliskich kuzynów. Z samego rana, jeszcze na godzinę przed świtem wyruszyłem z przewodnikiem, wybitnym znawcą naczelnych, w poszukiwaniu gniazd, gdzie śpią szympansy. Chłop włożył ze sobą załadowanego kałacha, tak na wszelki wypadek, gdybyśmy weszli na ścieżkę agresywnych słoń. Po półtorej godzinie kluczenia maleńkimi ścieżkami wydeptanymi przez zwierzaki idące do wodopoju zatrzymaliśmy się i zaczęliśmy nasłuchiwać. – Niedaleko od nas rozległ się charakterystyczny krzyk „uhu, uhu, uhu”, za chwilę z nad naszymi głowami coś zaszeleściło i usłyszeliśmy odpowiedzi „uhu, uhu, uhu”. To szympansy uzgadniały miejsce, gdzie zjedzą śniadanko. Umówiły



Pan Troglodyta!

się na wielkim, bogatym w owoce drzewie figowym. Miałem wrażenie, że cały las pokrzykuje. Korony drzew zaczęły się huścić. Z gniazd zaczęły wybiegać czarne stworzonka z okrągłymi uszkami. Nawoływały do siebie, biegały po gałęziach, ześlizgiwały się na ziemię. Zbliżał się świt. Po kolei, jeden po drugim, małymi grupkami wdrapywały się na figowiec. Gdy zbliżał się do drzewa pokazanej wielkości samiec, walił pięściami w konary, w wystające z ziemi korzenie, by zakomunikować wszystkim, że zbliża się na śniadanko. Niektóre zwierzaki podchodziły do siebie i podawały sobie rękę na powitanie. Trzymały się za ręce. Ja stałem pod drzewem, obserwowałem ich zachowanie, ich figle, ich przepychanki i nie wierzyłem własnym oczom. Zwierzak brał figę do zgrabnej ręki i oglądał ją dokładnie. Jeżeli była dobra, zjadał ją w skupieniu, wydłubując sobie z zębów twarde resztki, które się tam zaklinowały. Jeżeli figa była niedojrzała, albo robaczywa, chimpom zrzucali ją na dół. Złośliwie, tak, by mnie przestraszyć. Po pewnym czasie zwierzaki zaczęły sikać. Tak jak ludzie, bez obciachu (zobacz rozdział tej książki o Półwyspie Malajskim), prosto z drzewa. Cieszyły się przy tym niezmiernie.

W pewnym momencie na drzewie pojawił się Mobutu, przywódca stada. Imię zostało mu nadane przez pracowników rezerwatu, na cześć kongijskiego dyktatora. Mobutu zachowywał się tak jak jego imiennik *homo sapiens* z Kon-



Ale jestem mądry

ga. Najpierw zrobił rumor, potem złał kilku kolegów, którzy uzurpowali sobie władzę nad stadem pod jego nieobecność, a następnie zaczął jeść śniadanko, który dwóch młodszych sługaszów mu podawało. Gdy Mobutu się najadł, dał znać stadku, że śniadanie skończone. Zakomunikował też gdzie odbywał się będzie pośniadankowy odpoczynek. W kilka chwil część szympansov rozeszła się po lesie. Gdy Mobutu zszedł z drzewa, my ruszyliśmy za nim. Szliśmy przez dziki las deszczowy nie spuszczać dyktatorka z oczu na więcej niż 5 metrów. On szedł spokojnie, schylał się zwinnie pod zwalonymi drzewami, omijał przeszkody. My, objuczeni plecakami z prowiantem oraz bronią, nie zważając na węże, pająki, kolce, nieudolnie biegliśmy za ... małpiszonem. Mobutu przystawał co kilkadziesiąt metrów, patrzył na nas i gdy zbliżaliśmy się do niego i byliśmy pełni szczęścia, że dał nam chwilę odsapnąć, zaczynał złośliwie iść dalej. Poszarpałem o kolce całe spodnie. Wieczorem wróciłem do kampu w slipkach. Mobutu nie dawał za wygraną. My musieliśmy go śledzić, by dojść do miejsca, w którym umówił się z resztą grupy. Po trzech godzinach dymania po dzikiej dżungli, byłem wyczerpany bieganiem, obżarty przez mrówki i inne stworzenia, na które w przejęciu pościgiem za Mobutu nawet nie zwracałem uwagi. Po chwili Mobutu najpierw przystanął, dał się sfotografować, zjadł kilka soczystych listków, a na koniec zniknął w przepastnych moczarach, przez które nam nie udało się przejść.

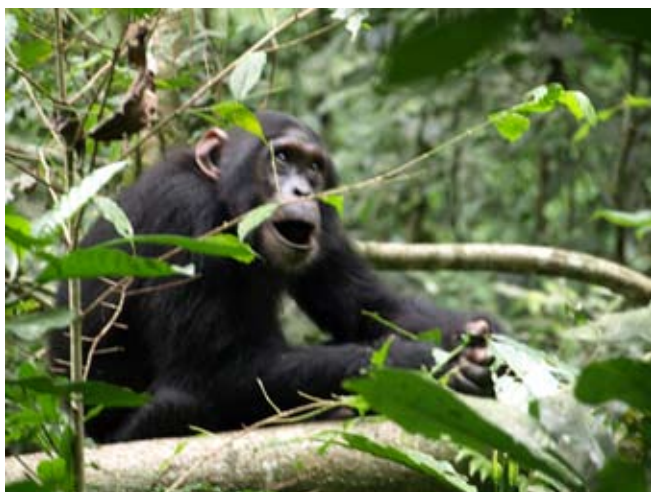


Mobutu myśli, jak mnie wydymać

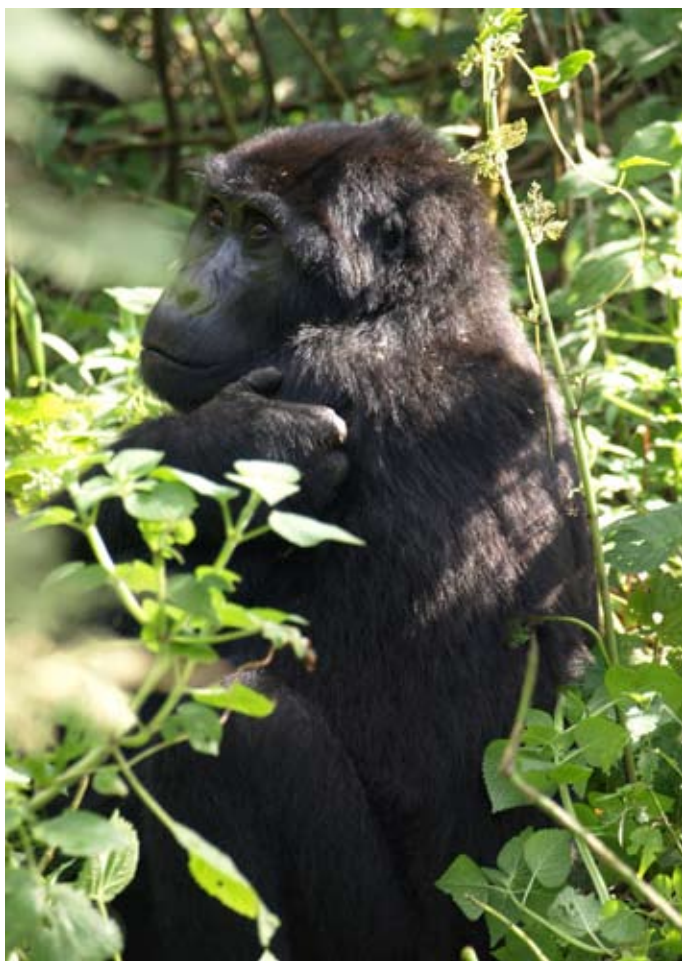
Usiadłem, zjadłem jajko, napiłem się wody i uzmysłowiłem sobie śmieszność sytuacji. Człowiek całe życie czyta o wężach, o niebezpieczeństwach czyhających w dżungli. Gdy pojawia się małpiszon, gna za nim w piekielnym upale, nie zważając na nic, nie patrząc pod nogi, łypiąc oczami za czarnym jegomościem. Mobutu uciekł. Wydymał mnie. Po całości. Czułem się nieswojo. Totalnie wystrychnięty na dudka.

Wróciliśmy zrozpaczeni pod figowiec.

Psota urodziła się już
w głowie



A tam, pod nieobecność Mobutu, pojawił się uzurpator. Najpierw przybiegł pod drzewo, zaczął pięściami walić w korzenie i pień, wbiegł do góry, zaczął wykrzykiwać na młodszych kolegów. Kilku bardziej krnąbrnych doprowadził mocnym uściskiem oraz lewym sierpowym do pionu. Gdy się najadł, zabrał ze sobą młodszego kumpla, zeszli z figowca i udali się w jakimś konkretnym kierunku. Ja ruszyłem za nimi. Na szczęście szli powoli. Cóż jednak z tego, jeżeli przyszło mi czołgać się pod zwalonymi drzewami, kluczyć między gęstymi pędami bambusa. Co chwila zatrzymywali się, starszy kładł się na brzuchu i kazał się młodszemu tarmosić a to po plecach, a to po głowie, a najczęściej po tyłku. Następnie pozwolił mu wyisnąć pchełki i inne stworzonka i je zjeść. W pewnym momencie, w zamian za rozkoszne tarmoszenie, zawiódł go w małą dolinkę. Obydwaj usiedli i nie patrząc na obdartego za spodni, pokaleczonego świra, który zbliżył się do nich na trzy metry, zaczęli się delektować listkami, mlaskając przy tym niesamowicie. Gdy przez półtorej godziny się najedli, jeden z nich wyszedł na drzewo i zaczął nawoływać kumpli. Umówili się pod wielkim drzewem nieopodal listkowego raju. Spotkało się tam pięciu troglodytów, najpierw uderzali pięściami o pień drzewa, aż las się zatrzęsł, a następnie wbiegli do góry i zaczęli opowiadać sobie historie z minionego dnia, który dobiegał końca. Przed zmierzchem każdy ułożył sobie na swoim nowym drzewie wielkie gniazdo z liści i gałęzi i zapadł w regeneracyjny długi sen.



Troglodyta

Ja wyrąbany dwunastogodzinnym uganianiem się za troglodytą, upokorzony przez małpiszona, pozbawiony spodni, udałem się na zasłużony odpoczynek.



Z wielogodzinnego pościgu za Mobutu wróciłem bez spodni. Upokorzony, wydymany przez małpiszona

Wśród baraszkujących czarnych stworów

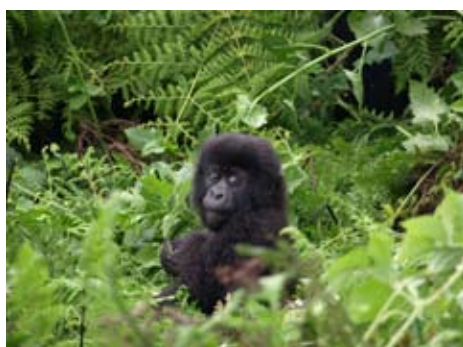
Po kilkudniowym pobycie w lesie deszczowym, krainie troglodytów, przemieściłem się na pogranicze Rwandy i Konga. Sytuacja w Kongu napięta: Od miesięcy toczy się tam krwawa wojna domowa, po drodze mijałem obozy uchodźców, pełno uzbrojonych żołnierzy. Kilkaset metrów od granicy z Kongiem przebywała podobno dwudziestopięciuosobowa goryla rodzinka. Przed świtem wysłaliśmy tropicieli, by odnaleźli zwierzaki. Sami ruszyliśmy o świcie, najpierw kilkanaście kilometrów samochodem terenowym, potem w asyście dwóch uzbrojonych po zęby żołnierzy ostro w górę przez gęsty las bambusowy. Po dwóch godzinach marszu otrzymaliśmy przez radio wiadomość: Są! Ruszyliśmy zboczem ostro w lewo, na dziko, w pośpiechu. W pewnym momencie zza krzaków wyszedł tropiciel i kazał nam zostawić plecaki i prowiant pod opieką żołnierzy. Przy pomocy maczet przedarliśmy się przez kolejne chaszczce. Wyszliśmy na piękną polankę, gdzie krzaki i trawa sięgały trzech metrów. Na polance odkryliśmy gorylą rodzinę. Pan stada, dostojny goryl o wysokości 2m i 200 kg żywej wagi zjadał trawę. Małe szkraby mocowały się i uprawiały zapasy, raz po raz turlając się z górki wprost na tatę. Trochę starsze na nasz widok stawały i śladami taty waliły piąstkami w piersi wydając przy tym groźnawy dziecięcy odgłos. Mamy na plecach i na brzuchu nosiły młode, które raz po raz próbowały zakumplować się ze starszymi braciszkami i wdać się w zabawy. W pewnym momencie maluchy zbliżyły się do nas na niebezpieczne dwa metry. W tym momencie głowa rodziny, podniósł głowę i spojrzał w naszym kierunku. Ja z wrażenia oraz za radą tropicieli uklęknąłem. Silberback ruszył w moim kierunku. Serce waliło mi jak nigdy dotąd. Przeszedł dostojnie ocierając się o przewodnika, czterdzieści centymetrów ode mnie. Dał znać, kto tu rządzi.



Ojciec gorylei rodziny ma wszystko pod kontrolą



Wasza fraszobliwość



Psoty mi w głowie



Nie podoba mi się ta zabawa



Goryli maluch

Krajobraz po masakrze

Rwanda. Wspaniały, malowniczy kraj wielu tysięcy łagodnych, urokliwych wzgórz, zagospodarowanych na potrzeby rolnictwa. Bieda i głód spowodowały, że Rwanda pozbyła się lasów. Pozostały trzy parki narodowe. Chronione przed rolnikami i kłusownikami przez strażników uzbrojonych po zęby w ostrą broń. Całe urokliwe doliny wypełnione są polami herbacianymi. To nie to, co Cameroon Highlands w Malezji – kilka przereklamowanych wzgórz pokrytych herbatą. Rwanda to jedna wielka herbaciarnia. Zieloniutki kraj, pełen gajów bananowych, upraw ziemniaków i kawy.



Plantacja herbaty. – Malezja to, czy Rwanda. Krainy to bardzo od siebie oddalone, ludzie nie widzieli się na oczy. Sceneria ta sama

Mam w Rwandzie wrażenie, że miliony ludzi idą. Idą niosąc na głowie motykę, worek ziemniaków, banany. Prawie nikt nie jedzie rowerem, nikt nie używa wózka. Samochody? - To luksus dla zamożnych. Ludzie mieszkają w lepiankach bez okien, całymi dniami przesiadując na zewnątrz. Tylko w nocy ryglują drzwi do swych domostw.



Mam wrażenie, że w Rwandzie wszystko nosi się na głowach

Jadąc przez kraj nieuczęszczanymi przez nikogo traktami skóra cierpnie na plecach na widok uzbrojonych w maczety Hutu. Mamy však w pamięci rok 1994, kiedy to z dnia na dzień rolnicy posługujący się tymi właśnie narzędziami przeistoczyli się w ludzkie bestie i morderców, likwidując ponad milion Tutsi. W mordy uwikłanych jest niecałe dziesięć procent ludności Rwandy. 90% Tutsi zostało ukamienowanych, zakopanych żywcem, spalonych, zasiekanych maczetami. Wszystko na oczach biertnej społeczności międzynarodowej, rządu belgijskiego, który najpierw łupił niemiłosiernie swoją kolonię, potem wprowadził segregację rasową²³, a następnie wspierał morderców i biernie przyglądał się mordowi. Rozmawiając z ludźmi w Rwandzie dochodzę do przekonania, że niedawne doświadczenia pozostają i pozostaną traumą jeszcze przez wiele pokoleń. Zastanawiam się, dlaczego musiało do tego dojść. W takich sytuacjach

23 Belgowie w dwudziestym (!) wieku wprowadzili w Rwandzie nowy wzór dowodu osobistego, w którym obligatoryjnie trzeba było wpisać rasę!

człowiek odpycha od siebie myśl o takiej masakrze. O wojnie. A przecież tak niedawno w Europie ktoś postanowił, że zlikwiduje cały naród żydowski. Ktoś inny pobudował łagry, wymordował w nich miliony niewinnych ludzi i pozwolił umrzeć milionom Ukraińców. W siedemdziesiątych latach świat patrzył, jak Pol Pot zlikwidował w niecałe trzy lata 20% swoich rodaków. Tylko dlatego, że byli wykształceni albo mieli jakiekolwiek powiązania zawodowe, towarzyskie, czy rodzinne z Zachodem. No i ta rzeź w b. Jugosławii. Znów na oczach całej Europy. Postępujący kryzys doprowadzi w Europie z pewnością do polaryzacji poglądów. Być może pryncypia, na których opiera się Unia Europejska ulegną drastycznemu osłabieniu. Chciałbym wierzyć, że obecny kryzys nie zakończy się tak, jak zakończył się kryzys, który rozpoczął się w 1929 r.



Hutu

W Rwandzie przedymałem, dzięki maczetom przez najstarszy las deszczowy w Afryce. Podobnie jak to miało miejsce w Kibale, uganiałem się za troglodytami. I podobnie jak w Ugandzie wróciłem zmasakrowany krzakami, przez

które dane mi było się przedzierać, okaleczony kolcami, w które siłą rzeczy człowiek wpada. Nie patrząc pod nogi, ale za czarnym włochatym stworem z okrągłymi uszami i złośliwym uśmieszkiem. I podobnie jak w Ugandzie wróciłem upokorzony przez Troglodytę.

Wracając ciarki ponownie przeszły po plecach, gdy stanąłem przed hotelem Les milles collinnes, zamknąłem na chwilę oczy i przypominałem sobie sceny z filmu Hotel Rwanda.



W Afryce amerykańskie wybory są okazją do podkreślenia siły miejscowych dyktatorów, watazków i zwykłych rzezimieszków

Po powrocie z Rwandy odpoczywając kilka godzin nad jeziorkiem na granicy Rwandy i Ugandy spotkałem zorganizowaną grupkę polskich turystów. Zapłacili kilkadziesiąt tysięcy złotych, by zobaczyć goryle. Poznałem ich z daleka po hałaśliwym zachowaniu. Na stole w tropiku oczywiście nie zabrakło flaszki. Chamy krzyczały, telefonowały, obsługa pytała mnie, czy w Polsce zawsze tak głośno. Koło mnie stanęła starsza bizneswoman albo raczej żona biznesmena

i nie wiedząc, że rozumiem po polsku zaczęła pleść przez telefon do kogoś w kraju: „Tu jest tak jak w telewizji: dzieci wyciągają ręce prosząc o pieniądze”, „Heńkowi spodobała się kolorowa koszulka Czarnego i zamienił się z nim, dając mu swe buty”, i tak dalej przez piętnaście minut. Na koniec powiedziała, że musi kończyć, bo mają odprawę przed jutrzejszym trudnym dniem. I poszła pić wódkę z resztą hałastry.



Wioska na pograniczu Rwandy i Konga

Chwila wytchnienia i refleksji

Na każdej wyprawie mam potrzebę, by odetchnąć, zatrzymać się w miejscu, pomyśleć, zapisać myśli, które telepią się po głowie, poplanować, pomarzyć.

Potrzeby te zrealizowałem w urokliwym parku narodowym nad Kazinga Chanel. Idylliczna sceneria, otoczenie złożone z milionów ptaków, krokodyli, słoni, lwów, hipopotamów oraz bawołów, pozwoliło mi na podsumowanie ostatnich burzliwych lat pracy, wypraw i życia. Nabrałem sił. Gdy stanąłem nad Wodospadami Murchinsona, spojrzałem w dół na wijący się Nil i ... zamarzy-

łem. O Bonobo w Kongo, o wyprawie samochodem dookoła świata, o samotnym rejsie po wszystkich zakątkach, do których nie dotrę wehikułem. Plan jest. Zabieram się do jego realizacji. Życie jest piękne. – Śmierć frajerom, dla których liczy się tylko praca! Świat się zmienia. W tym roku zaczęto nieopodal Wodospadów Murchinsona eksploatować ropę. Już wkrótce nie będzie tam śladu po stadach słońi, bawołów, antylop, po starym leniwym lwie z ogromną brodą, po całej masie hipopotamów, krokodyli. Po raz kolejny przekonuję się, że świat trzeba chwycać, póki jeszcze jest. Za kilka dekad świat się zmieni. Bezpowrotnie.



Gdy stanąłem nad Wodospadami Murchinsona, spojrzałem w dół i ... zamarzyłem